

Modlitwa Sybiraków

.....

Spraw, by symbole mogił tych co życie oddali za Polskę
Od Workuty przez Norylsk po Sachalin,
W narodowej pamięci zapewniły im trwanie,
O polskie tam cmentarze – prosimy Cię Panie!

Boże! – coś Sybirakom, tym z bitwy pod Lenino,
I zwycięskiego boju o szczyt Monte Cassino,
W ziemi ruskiej i włoskiej dał wieczne spoczywanie,
Otwórz im wrota raju – prosimy Cię Panie!

Spraw także, by już nigdy służalczą polityka,
Nie zatajała faktów historii w podręcznikach,
By znikło ze szkół polskich historii przekłamanie,
O prawdę o Syberii – prosimy Cię Panie!

Obroń nas przed najgorszym dziś z zagrożeń współczesnych,
Że wszystko warto sprzedać – wszystko dla dóbr doczesnych,
Sprzedać wiarę i wolność za dóbr konsumowanie.
Obroń nas przed tą klęską – prosimy Cię Panie!

.....

Nawet gdy zniknie groźba niewoli od sąsiadów,
Młodzi – wierni pamięci naszych Ojców i Dziadów,
Niech nowym pokoleniom przekażą to przesłanie:
Strzec wolności i wiary! – prosimy Cię Panie!

Cmentarze wojenne

Cmentarze... Miejsca modlitwy, refleksji, wplatania przeszłości w teraźniejszość, a więc normalne ludzkie reakcje. Cmentarze wojenne są pod tym względem nieco inne. Patrząc na te – wydawałoby się nieskończone – rzędy krzyży czy płyt, nasuwające się pytanie nie brzmi “dlaczego?” – bo wojna ma swoje prawa jak i nie-logiczności. Pytanie, które mi czasem przychodzi na myśl, brzmi – “po co?”

Loreto

Gdy po wyprawie wiedeńskiej, Jan III, notyfikując papieża o zwycięstwie w sparafrazowanej formie “Veni, vidi, Deus vincit”, przekazał mu również buńczuk i szablę Kara Mustafy, papież ufundował polską kaplicę w loretańskiej bazylice, gdzie trofea te złożone zostały jako vota. Polskie koneksje odżyły znowu – również w dramatyczny sposób – gdy w 1945 roku polski garnizon uratował bazylikę od pożaru po nalocie Luftwaffe. W podziękę biskup Loreto ofiarował zbocze wzgórza bazyliki na polski cmentarz wojenny. Szczątki poległych w kampanii adriatyckiej – aż po mury Bolonii – znalazły ostateczne miejsce spoczynku u podnóża bazyliki.

W kwietniu 1945 roku budowa cmentarza i pogrzeby zostały zakończone i 6 maja miało odbyć się jego uroczyste poświęcenie. Ceremonia ta zbiegła się z wizytą w 9 Kompanii Warsztatowej 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej – 15 chłopców, Kresowiaków z Wojskowej Szkoły Mechanicznej 2 Korpusu z Barletty. Na czas ich pobytu w kompanii, d-ca kpt. Henryk Hillar oddał ich pod moją opiekę i z nimi (jak wskazuje istniejąca kopia rozkazu), byłem obecny na uroczystości poświęcenia.

Wczesnym rankiem, maszerując przez cmentarz na wyznaczone nam miejsce, dołączyłem do grupy przed nami, również chłopców z Barletty – dowodzonej przez pchor. Tadeusza Randa. Nieoczekiwane i jak najbardziej radosne spotkanie! Tadek był moim kolegą w liceum w Warszawie, ale po skończonym kursie drogi nasze jakoś się rozeszły. Jego późniejsza historia była niemal lustrzanym odbiciem mojej – AK, Powstanie, niewola, Włochy.

Czekając na inne grupy, mówimy o latach wojny, o jej bezowocności, o stracie tak licznej i tak drogocennej życia ludzkiego, i patrząc na te rzędy białych krzyży, myśląc o ponurej politycznej rzeczywistości, pytaliśmy samych siebie: Jaki jest sens tej olbrzymiej ofiary? Oto setki ofiar wywózki i więzień, niewolników sowieckich z Syberii, Kazachstanu, Workuty, tych, którzy przezwyciężając nieludzkie warunki i trudności dotarli do tworzącej się armii gen. Andersa, leżą teraz tu pod białymi krzyżami. Szli przez Persję, Irak, Palestynę i Egipt, walczyli w Italii i wykreśleni z życia niemieckim ogniem, leżą na tym patrzącym na wschód zboczach, nie mogąc nawet zwrócić swych niewidzialnych oczu w kierunku Ojczyzny.

Do dziś pamiętam to czysto retoryczne pytanie, które mi się wówczas nasunęło: “Czy polegli abyśmy, Ty i ja, mogli może mieć lepszą przyszłość?” – “Filozofujesz, mój drogi” – powiedział Tadek

Sznury samochodów zaczynają zwozić delegacje oficerów i srebrem lub złotem obsypane liczne szlify generalskie stają się widoczne. Jest gen. Anders, wiodący dowódców dywizji – w tym naszego gen. Rakowskiego, jest gen. Wilson, d-ca 8 Armii, w skład której wchodzi Korpus, i z której to racji nosimy białe tarcze Krzyżowców na rękawach mundurów – otoczony grupą wyższych oficerów reprezentujących Armię Brytyjską, jest gen. Clark, b. d-ca wojsk amerykańskich we Włoszech, jest grupa oficerów francuskich i duży kontyngent włoski. W końcu przybywa Biskup Polowy.

Poświęcenie cmentarza, msza żałobna i, składanie w milczeniu wieńców. Pierwszy – w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Władysława Raczkiewicza – składa gen. Anders.

Patrzę na wolno sunącą procesję wieńców i powódź kwiatów, na – jakby wrośnięte w ziemię – szeregi Kompanii Honorowej i słucham cichego szelestu wiatru z Adriatyku, za słabego jednak na to, by w pełni rozwinąć alianckie flagi.

Ostatni wieniec zostaje złożony i nuta Pobudki dobiega od samotnego trębacza. Moment ciszy, i mury bazyliki odbijają echem dźwięki hymnu.

Moja grupa była jedną z ostatnich opuszczających cmentarz. Był czas na refleksje. Jestem świadkiem – myślałem – jednej z ostatnich konwulsji wojny. Bo przecież te białe krzyże, wspinające się szeregami po zboczach wzgórz, to nic innego jak

tysiące niespełnionych marzeń, cierpień i, w końcu, znak brutalnego kresu nieziszczonych możliwości.

Nawet w wieku 22 lat dojrzeć można szybko.

Od redakcji

Wspominając polski cmentarz w Loreto warto przy okazji przypomnieć mało znany incydent, związany z ratowaniem podczas pożaru katedry w loretańskiej przez żołnierza Armii Andersa, opisany we wspomnieniach Romana Krzyżanowskiego. (Adam Majewski: *Zaczęło się w Tobruku*. Lublin 1973).

Wspomnienie z Loreto

... Było to 1 lipca 1944 r. po przejściu i walkach nad rzeką Chienti. Mijając Porto Recanati zatrzymaliśmy się wieczorem pod miastem Loreto. W mieście byli jeszcze Niemcy. Tu zdarzył się bardzo zabawny incydent. Jeden ze starszych ułanów, chłop do wypitki i do wybitki (nazwiska nie pamiętam) wybrał się do miasta po wino. Przypominam sobie, że był rodem z Krakowa. W mieście panował duży chaos i pośpiech. Po ulicach krążyli Niemcy przygotowując się do opuszczenia miasta. Nasz "pijus" wszedłszy do miasta zagadnął pierwszego lepszego Włocha: - "Gdzie by tu można dostać vino bianco?" – Zdziwienie i strach Włocha było nie do opisania – wskazał na Niemców i zapędził naszego bohatera do sieni. Wtem rozległy się okrzyki, że pali się katedra. Wszystko co żyło (naturalnie z wyjątkiem Niemców), ruszyło na pomoc – nasz ułan również. Płonęła biblioteka loretańska. Na drugi dzień (po zajęciu miasta przez wojsko polskie) kapelan pułku, ksiądz Malinowski, odprawił w Loreto nabożeństwo. Tu księża donieśli mu o wszystkim i o bohaterstwie naszego ułana. Po długich perswazjach winowajca przyznał się do opuszczenia bez zezwolenia oddziału – dostał 3 dni paki. Ale po 6 miesiącach, gdy byliśmy w Arezzo, przyszedł dla naszego ułana dyplom papieski ze złotym medalem. Dyplom i medal pokazywał w kasynie oficerom ksiądz Malinowski.

Poznań

Lata minęły. Jest wrzesień 1989. Wracając z krótkiego urlopu w Polsce zatrzymujemy się u kuzynki w Poznaniu, gdzie któregoś dnia rozmowa zwraca się ku wojnie. Żona – Angielka dowiadując się, że na cmentarzu wojskowym na Cytadeli znajdują się groby brytyjskie, chce je odwiedzić i złożyć kwiaty.

Dwie kwatery. Pierwsza – pozostałość I wojny światowej, druga – testament drugiego huraganu dziejowego. Leżą szeregiem białych płyt głównie zmarli w obozach jenieckich. Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszy nagrobek, który widzimy, to Private (szereg.) Oddy z Yorkshire Regiment – nazwisko naszego sąsiada, choć nie krewny jak się okazało, a między nimi płyty z... polskimi orłami! Zestrzeleni polscy lotnicy leżą w ziemi ojczystej lecz na brytyjskim odcinku cmentarza, bo wcieleni do eskadry Royal Air Force walczyli pod dowództwem brytyjskim. Zawile i ironiczne bywają szlaki historii.

Kwiaty zostały równo podzielone.

Warszawa

Realizacja lat konspiracyjnych przygotowań, ćwiczeń i nadziei nastąpiła w końcu w tym parnym i zachmurzonym popołudniu 1 sierpnia 1944 r. 2-ga Harcerska Bateria Artylerii plot “Żbik” weszła do akcji w Warszawie o godz. 17-tej. Do działań – w rękach niemieckich – nigdy nie dotarliśmy i 63 dni Powstania było świadkiem naszych udanych wysiłków utrzymania odcinka frontu, częściowo otaczającego ówczesny Dworzec Główny.

50 lat później byłem ponownie w Warszawie na uroczystościach tej pamiętnej sprzed pół wieku chwili. Poranna odprawa resztek oddziału, starsze panie i starsi panowie zebrani z różnych części globu, stoją wraz z d-cą baterii por. Zdzisławem Szczepańskim “Żukiem” (przemysłaninem) w milczeniu, gdy czytana jest lista poległych. Potem próby, nie tak trudne, zbudowania ponownie mostów ponad jarem dziesiątek lat, i w końcu, po południu cmentarz na Powązkach.

Na kwaterze Batalionu “Gurta” – w składzie którego była bateria – twarze wydają się znajome, a być może nie, - piętno czasu jest widoczne. Pielgrzymka wśród

grobów... nazwiska na nich, a częściej pseudonimy są poznawane, twarze kolegów, przyjaciół wylaniają się z mgły pamięci i sens pustki się wzmacnia.

Przenikliwe głosy syren zwiastują godz. 17-tą, tym razem 1 sierpnia 1994 roku. – Zalega głęboka cisza gdy stoimy w milczeniu, myślami daleko poza granicami czasu. Tylko te sylwetki naszych młodocianych następców, prężących się teraz salutując w alejach cmentarza, pobudzają myśli, że może jednak olbrzymia ofiara poniesiona przez tak wielu nie poszła zupełnie na marne, mimo tragicznego wówczas końca zrywu.

* * *

Maj 1998. Snując się po Krecie, wdychając tysiące lat historii zachodniej cywilizacji i bez mała dotykając śladów mitologii, stajemy od czasu do czasu twarzą w twarz nowej, i bardziej niż starożytna brutalnej rzeczywistości.

Przewodnik po górach wąwozach, dolinach, i zatokach wyspy, emerytowany brytyjski oficer jest historykiem kampanii kreteńskiej 1941 roku, jak również długich lat wojennych akcji grecko-alianckiej partyzantki. Ślady stanowisk obronnych, spróchniałe drewniane mola ewakuacyjne na wybrzeżach, z których okręty Royal Navy zbierały pod niemieckim ogniem resztki oddziałów i, oczywiście, nieunikniony cmentarz wojenny.

Na łagodnym stoku Souda Bay, wieńczonych szczytami gór, raz jeszcze szeregi białych płyt. Setki ich. Chodzimy czytając nazwiska, stopnie, nazwy jednostek, daty. Ktoś mnie woła z daleka wskazując płyty grobowe. Jest ich cztery w szeregu i oddzielnie od reszty grobów. Załoga bombowca – może z Egiptu – zestrzelonego nad Kretą w listopadzie 1943 r. Na trzech płytach symbole RAF (Royal Air Force), na czwartym “Orzeł” – Polish Air Force. Leży tu Flying Officer (por.) J. Zbyszyński, skąd rodem? – nie wiem.

Stoję przed grobem i myślę: “Co ty tu robisz Rodaku, wprowadzisz wśród setek współtowarzyszy broni, lecz niemniej obcych ci ludzi? Co ty tu robisz w greckiej ziemi, tysiące kilometrów od ojczystej? W ciszy pięknego popołudnia, tak, ale czy w pokoju?”

Catania

Wczesne wojenne klęski aliantów i pogarszające się warunki życia pod okupacją niemiecką w Warszawie, coraz bardziej przytłaczały nas swą rzeczywistością i czasami pozbawiały optymizmu. Przyływ i odpływ ruchu armii w płn. Afryce wzbudzał nadzieje lub ich pozbawiał, ale nawet końcowe zwycięstwo nie rozjaśniło widnokręgu - przecież to wszystko było na innym kontynencie.

Pierwszy jasny promień nadziei zabłysnął, gdy brytyjsko-amerykańsko-kanadyjska inwazja na Sycylię stała się faktem. Czytaliśmy z zapartym oddechem "Biuletyn Informacyjny" śledząc postępy – lub ich brak, czytaliśmy nawet warszawskiego niemieckiego "szmatławca", doszukując się w komunikatach Oberkommando der Wehrmacht dodatkowych okruczeń informacji potwierdzających alianckie sukcesy. Ogłaszane straty nas bolały, ślady zwycięstwa ekscytowały.

60 lat później na sycylijskich wakacjach jadę autokarem z lotniska w Catanii. Parę kilometrów za miastem skręcamy w wąską drogę, która wiedzie do olbrzymiego cmentarza brytyjskiego. W kwiatkach i w cieniu drzew znów te dobrze znane rzędy płyt. Chodzimy po cmentarzu, gdzie tylko szum kropli wody zlewającej trawniki przerywa głęboką ciszę.

Leżą tu szeregami ci, o których myśleliśmy w odległej Warszawie w lecie 1943 roku, i którym szczęścia wówczas życzyliśmy.

Nie ma tu polskich grobów, tylko kwiat młodzieży angielskiej. Szeregowi, podoficerowie, oficerowie leżą w grupach jednostek. Przeciętny wiek około 20 lat. Od komandosów przez artylerzystów, od piechoty do broni pancernej, są kucharze i sanitariusze, jest poczta polowa i oficerowie sztabów. Geograficznie wyspy brytyjskie są w całości reprezentowane.

To ci, którzy w bezgwiazdnej nocy okupacji wskrzesili w nas promień nadziei i za nas też polegli, tak jak Kanadyjczycy i Amerykanie leżący na innych cmentarzach wyspy.

Wychodząc z cmentarza, wracamy do świata XXI wieku i ... wakacji. Bo życie musi toczyć się dalej.

Anna Bidna

Złoczów

Ocalić od zapomnienia!

Kresy Wschodnie... Dla wielu Polaków to już jakaś prawie nieznaną krainą. A przecież urodzili się tam nasi najwięksi poeci – Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki; nasi wodzowie – hetman Stanisław Żółkiewski, zwycięzca spod Wiednia – Jan III Sobieski, Tadeusz Kościuszko. Józef Piłsudski... nie sposób wymienić wszystkich nazwisk.

Historia Złoczowa to burzliwy okres najazdów tatarskich, tureckich, wojen kozackich, i w końcu wydarzeń ostatniej wojny. Śladem tych wydarzeń są cmentarze. One mówią o ludziach, którzy tu mieszkali, o nacjach, które żyły tu przez wieki obok siebie – o Polakach, Ukraińcach i Żydach. Ślady te zasługują na szczególną uwagę.

Do takich cmentarzy, niestety coraz bardziej niszczących, należy stary, za-
bytkowy cmentarz złoczowski. To cud, że nie został zdewastowany i nadal korzysta z niego społeczeństwo Złoczowa.

Wśród cmentarnej ciszy zatrzymajmy się przy grobie tonącym w kwiatach i zieleni. To miejsce wiecznego spoczynku ks. biskupa Jana Cieńskiego – legendy naszego miasta. Na grobie wyryto napis:

J. E. Ks. Biskup

Jan Cieński – świadek trudnej wiary.

ur. 7. I. 1905 – Pieniaki

zm. 26. XII. 1992 – Złoczów

Długoletni ofiarny duszpasterz parafii Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny w latach
1938-1992.

“Umiłował Kościół i starał się, by inni Go pokochali”

“Jezu ufam Tobie!”

Przez 54 lata pełnił posługę duszpasterską w tej świątyni. Ten popijarski kościół, jako jeden z nielicznych w tych stronach, otwarty był przez cały czas rządów

sowieckich. Wiele ludzi korzystało z posługi ks. Cieńskiego. On chrzczył, spowiadał, udzielał komunii, odprowadzał na wieczny spoczynek.

Na Jego grobie zawsze można zobaczyć wiązanki kwiatów, płonące znicze. Zasłużył sobie nie tylko na spokój wieczny, lecz przede wszystkim na wdzięczną pamięć kolejnych pokoleń mieszkających tu Polaków.

Zatrzymajmy się również przy kaplicy-mauzoleum, zbudowanej w 1923 roku (podobnej do kaplicy na Cmentarzu Orłąt we Lwowie), poświęconej pamięci poległych w walkach wyzwoleniczych. Pochowano tu szczątki 22 oficerów i żołnierzy zabitych w Złoczowie podczas walk w latach 1918-1919. Szczątki ich spoczywają przy wejściu do mauzoleum, a nieco wyżej (wchodzi się tam po schodkach) znajduje się otoczona galeryjką kaplica, w której odprawiane są nabożeństwa żałobne. Cieszy, że i tutaj zawsze zobaczyć można kwiaty i płonące znicze. Tę typową polską tradycję pielęgnują przybywający tu Rodacy.

Na terenie cmentarza znajdują się także dwie zbiorowe mogiły, w których spoczywają pomordowani przez NKWD w czerwcu 1941 roku Polacy i Ukraińcy. W tym miejscu chciałabym wspomnieć mego wuja. Śp. Antoni Bidny, dwudziestokilkuletni chłopak, został wczesnym rankiem zabrany z domu przez funkcjonariuszy NKWD i bestialsko zamordowany na zamku¹. Zamordowany tylko dlatego, że był Polakiem. Zmasakrowane ciało z trudem zostało później rozpoznane przez rodziców.

Wśród pozostałych ofiar zostali rozpoznani m. in. dr Józef Golicz – b. dyrektor szpitala wojskowego, Maria Adamiecka – żona kapitana 52 pp, Michał Skarbek – nauczyciel z Oleska, Jan Płachta – starosta złoczowski.

Mogiła, o której także nie sposób nie wspomnieć, należy do katechetki – śp. pani M. Czotyrbuk, która w latach reżimu komunistycznego uczyła dzieci religii i przygotowywała je do I Komunii Św.; uczyła także młodzież ze Złoczowa i okolicznych wsi. Katechetka została przez KGB aresztowana i skazana za działalność religijną na trzy lata więzienia. Mija już 10-ta rocznica śmierci tej niezwyklej osoby, która swoje życie poświęciła wiernym ziemi złoczowskiej. Grób ten niestety rozsypuje się już do reszty.

Przechodząc ścieżkami tego zabytkowego cmentarza warto zatrzymać się przy kapliczkach, w których pochowani są ludzie zasłużeni dla miasta. W jednej z

¹ Zamek, niegdyś obronny, zbudowany z początkiem XVI wieku, później wzmocniony fortyfikacjami przez Jakuba Sobieskiego, odegrał w walkach z najeźdźcami Wschodu wybitną rolę. Na terytorium zamkowym znaj-

nich spoczywa notariusz, burmistrz Złoczowa – Stanisław Wesołowski z rodziną, która dużo wniosła w rozwój miasta (fot. na okładce). Kapliczka rodziny Adamowskich została pięknie odrestaurowana przez krewnych z Polski. Tuż obok, wśród olbrzymich i dawno nie wycinanych zarośli, stoją wyszukane pomniki: Andzi i Eugeniusza Kuryłowiczów, z rzeźbioną sylwetką anioła z wianuszkiem w ręku. Jest to z pewnością jeden z najciekawszych pomników na tutejszym cmentarzu. Nieopodal widnieje okazały nagrobek Stanisława Sozańskiego, z olbrzymią figurą Matki Boskiej w długiej szacie i chuście na głowie, z rękami złożonymi do modlitwy. Zachowała się w niezłym stanie. Jest to może zasługą sumiennej pracy artystów-rzeźbiarzy tamtych pokoleń.

Do innych wybitnych Polaków pogrzebanych na złoczowskim cmentarzu można zaliczyć profesorów państwowego gimnazjum. Leżą tu:

Eliasz Charak (4 XI 1882 – 5 VI 1932),

Józef Baron (1844-1900),

Stanisław Home (1878-1912),

oraz:

ks. M. Szyrak (1860-1924) - katecheta szkół powszechnych w Złoczowie,

ks. S. Wałęga (1874-1933- działacz i proboszcz złoczowski,

S. Pelagia Maciejewska – siostra zakonna ze zgrom. św. Wincentego a Paulo. Pracowała w miejscowym szpitalu, pielęgnowała chorych,

Stanisław Mały – sędzia Sądu w Złoczowie,

Franciszek Zawadski – c. k. radca apelacyjny

i wielu innych ludzi, którzy związani byli z dziejami polskiej kultury, tworzyli tu i wiele dali temu miastu.

Na koniec chciałabym wspomnieć o tych, których mogiły pozostały na obcej ziemi, o ludziach którzy walczyli zgodnie ze swoim sumieniem w obronie prawdy, honoru, wolności i godności. Myślę o Grobie Nieznanego Żołnierza, który po kilkudziesięciu latach stracił swój pierwotny wygląd i zarósł już drzewami i krzakami. Jedynie krzyż, który tu pozostał przypomina, że grób kryje ludzi, którzy byli dla kogoś najbliższymi i niezastąpionymi.

dował się właściwy zamek, który zachował się w niezłym stanie, i zamieniony został przez rząd austriacki pod koniec XIX w. na więzienie. I tak już pozostało. (Przyp. Red.).

Każdy grób to historia. I nie wolno nam tej historii zaprzepaścić. Obowiązkiem żyjących jest pielęgnować ją. A ratowanie cmentarzy to także ratowanie ojczyściej historii. Musimy o tym wszyscy pamiętać!

Wacław Bodnar

Białystok

Wędrowki po kresowych cmentarzach

Na rozległych terenach Rosji, od Murmańska, Smoleńska, Pskowa do Czernichowa, Krasnojarska ... Omska, Tomaska, po Kamczatkę i Władywostok rozsiane są od kilkuset lat polskie groby. Żołnierzy Powstania Kościuszkowskiego, powstań narodowych, Polaków wywożonych na Sybir całymi rodzinami i ginących z głodu.

Gdyby zaś Polak zechciał wspiąć się na wysokie szczyty narodowych kopców, zobaczyłby inne jeszcze miejsca masowych mogił, w których leżą nasi rycerze, od setek lat walczący i ginący za Polskę – na polach Podola, Ukrainy, Mołdawii lub wzięci w niewolę i mordowani. Z tych kopców, pamiątek Krewa, Powstania Styczniowego w Kołodnie, widać miejsca klęsk narodowych: Żółte Wody, Korsuń, Batoń, Cecora, Antonówka za Dnieprem, Piławce, Beresteczko, Szarogród, Biała Cerkiew, Lwów i Zamość – tam leżą Polacy i oczekują naszej pamięci, zwłaszcza w okresie tradycyjnych Zaduszek.

Kto nie był na Kresach i nie widział naszych grobów, ten nie zrozumie Mickiewicza. Jego sławne "Dziady" – to nie tylko stare litewskie obrzędy ludowe, to także wymuszone przez zaborcę konieczne czynności na grobach bliskich. W okresie popowstaniowym terror carski szalał do tego stopnia, że Polak nie miał prawa postawić krzyża na grobie zmarłego. Rodzina i przyjaciele szli więc nocą na cmentarz i głośno śpiewając pieśni żałobne, kuli w kamieniu płaski krzyż. Dziś, spotkawszy po tylu latach taki grób z płasko rzeźbionym krzyżem możemy być pewni, że jest to grób z okresu po Powstaniu Styczniowym. Wzmagający się terror doprowadził aż do tego,

że nazwiska zmarłego Polaka nie można było napisać po polsku. Stąd groby, jakie dziś jeszcze (choć nieliczne) można zobaczyć, posiadają napisy w języku rosyjskim.

Któż z nas policzy teraz polskie groby na polach Syberii?

W ciągu ostatnich lat miałem możliwość zobaczyć wiele cmentarzy na naszych Ziemiach Kresowych. Nie tylko te sławne, jak cmentarz Bajkowski i Łukianowski w Kijowie, nie tylko cmentarz na Rossie. Zwiedziłem wiele cmentarzy w małych miejscowościach Podola, Ukrainy, Wołynia. Czytelne jest tam do dziś barbarzyństwo. Po rewolucji bolszewickiej, gdy odebrano ludziom Boga, niszczone i rozkopywano groby nie tylko dla ich zniszczenia, ale też dla rabunku.

W 1970 roku, na rozkaz Moskwy nastąpiło planowe niszczenie resztek cmentarzy, poszły w ruch traktory, przy pomocy których cmentarze zaorywano, aby nie pozostał ślad po polskiej tam obecności. Głodny lud pracował na kawałek chleba niszcząc cudze uświęcone miejsca.

Osobnym zjawiskiem są spotykane groby z nazwiskami, które są obecnie wśród nas, często identyczne z nazwą miejscowości na Kresach, jak: Skalscy, Szymańscy, Zalewscy, Bodnarowie, Żwańscy, Pawłowscy, Biskupscy... Nazwisk tych jest bez liku, widziałem je w małych miejscowościach, takich jak Łuczyniec Podolski, Oczydajów Dolny czy Krasław, Srebrzyńce, Chrystówka (zniszczony zupełnie), w Antoninach, Pohrebyszczach i in., nie mówiąc o miastach takich jak Kijów, Chersoń, Winnica, Żmerynka, a ostatnio na terenie Rosji – w Pskowie.

Wystarczy raz jeden odwiedzić nasze zniszczone cmentarze na Kresach, aby móc już z daleka rozpoznać groby polskie. Wyróżniają się stylem i artystycznym wykonaniem, chociaż tylko częściowo zachowane.

Niszczenie naszych cmentarzy postępuje nadal, w sposób niewidoczny; wystarczy jeden zdegenerowany osobnik spacerujący po cmentarzu z torbą, do której wrzuca części grobów i krzyży z nazwiskiem zmarłego. Umowy międzynarodowe nie są przestrzegane. Za kilka lat nie będzie śladu o naszym tam bytowaniu.

Metody i sposoby niszczenia polskich cmentarzy i grobów na Kresach wymagają osobnego opracowania. Wspomnę tylko o przykładzie Chersonia i Kijowa. Po opanowaniu tych ziem przez carową Katarzynę, na miejscu naszych cmentarzy budowano cerkiewki, a wokół nich zaczęto grzebać zmarłych. Z czasem tych grobów

było coraz więcej w związku z faktem, że Polaków wywożono na Sybir. Po pewnym czasie polskie zniszczone groby można było już zlikwidować.

Podobną lecz szybszą metodą zniszczono cmentarz na Wzgórzu Św. Magdaleny w Białymstoku, kiedy to zniszczono historyczne groby Polaków poległych w Powstaniu Listopadowym, a pozostawiono groby prawosławnych najeźdźców.

Na Kresach nie oszczędzono nawet historycznych grobów sławnych Polaków, także tych, którzy nie walczyli z Moskalami a z Turkami, np. grób hetmana Stanisława Żółkiewskiego pod Cecorą. W Kijowie zniszczony został w ostatnich czasach za-
bytkowy grób Marszałka Szlachty powiatu Lipowieckiego – Ułaszyna, a nawet rodzinny grób wspaniałego Prezesa Kijowskiego Oddziału Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego – Anatola Romeyko, na cmentarzu Łukianowskim.

3 października 1990 roku, gdy po raz pierwszy dotarłem do Łuczyńca Podolskiego, gdzie rodzina moja mieszkała ponad 200 lat, odnalazłem na miejscowym cmentarzu krzyż mojej rodziny z tego okresu. Gdy po raz drugi powróciłem do tej miejscowości w czerwcu 1992 r., na miejscu krzyża zastałem świeżo wyrównany teren, a po krzyżu ani śladu.

Kto nie widział naszych grobów na Podolu, niech nie mówi, że zna Kresy!

Tadeusz Z. Błazyński

Anglia

W drodze do wolności

Wyczerpana kozacko-tatarsko-szwedzkimi wojnami, warcholstwem szlachty, intrygami magnatów i nieudolnością monarchów (Korybuta Wiśniowieckiego, Stanisława Leszczyńskiego i Sasów) **Rzeczpospolita Obojga Narodów** uległa w końcu przemocy. W III rozbiórce Polska straciła nie tylko niepodległość, ale również wewnętrzną więź narodową, którą daje tylko państwowość. Podział kraju pomiędzy brutalnie autorytatywną Rosję carską, bezwzględne w swej germanizacyjnej polityce Prusy i niesłychanie biurokratyczne imperium austriackie, stworzył w społeczeństwie polskim różnorodność poglądów politycznych, a w związku z tym rodzaje swoistych

(dzielnicowych) rozwiązań problemów życia codziennego i przyszłości Narodu. Tragiczne i krwawe zrywy powstań w "Kongresówce" w 1830 i 1863 roku, spokojne lecz systematyczne wnikanie w polityczny system Austro-Węgier po krwawym epizodzie "Wiosny Ludów" i bierność połączona z próbami przystosowania się do rzeczywistości w zaborze pruskim, stanowią przykłady trzech różnych typów mentalności narodowej na przestrzeni przeszło stulecia niewoli.

Odzwierciedliły się one poważnie w postawach i reakcjach polityków polskich w latach I wojny światowej, a szczególnie w roku 1918, gdy Rosja płonęła w pożarach rewolucji, a Państwa Centralne (Niemcy i Austria) poczęły płacić za lata wojny upadkiem gospodarczym i rozkładem politycznym. W czasie – gdy po raz pierwszy od końca XVIII wieku sen o powrocie niepodległego Państwa Polskiego stawał się rzeczywistością. Jego realizacja była jednak niesłychanie skomplikowana, przypominając niekiedy układanie olbrzymich lecz niekompletnych puzzli – idei, podejść i akcji, zarówno ze strony polskiej jak i okupantów, później Sprzymierzonych.

Dwa główne kierunki polityczne, zarówno przed, jak i po latach wojennych, reprezentowane były przez Ligę Narodową (później Stronnictwo Narodowe tzw. "endeków") pod przewodnictwem Romana Dmowskiego i silniejszą Polską Partię Socjalistyczną (głównie zakonspirowaną) Józefa Piłsudskiego. Zasadnicza różnica między nimi polegała – poza stroną społeczną – na tym, że ND uważała poparcie Rosji za konieczne dla sprawy polskiej, PPS zaś, (szczególnie J. Piłsudski) uważało Rosję za główną przeszkodę w odzyskaniu niepodległości. Dlatego właśnie szukał w latach przed I wojną światową schronienia w Galicji, części Austro-Węgier najbardziej w stosunku do Polaków liberalnej, gdzie stworzył organizację pod nazwą "Strzelec" jako zaczątek polskiej armii.

Wybuch wojny w sierpniu 1914 r. rozpoczął proces układania puzzli. Obie strony zaangażowane w walce, usiłowały na różne sposoby zjednać sobie poparcie swych obywateli – Polaków, skoro działania wojenne toczyły się na ziemiach polskich.

I tak W. Książę Mikołaj Mikołajewicz (rosyjski wódz naczelny) wydał odezwę wzywającą Polaków do współpracy, obiecując stworzenie Polski w granicach ... Rosji. Oferta została pominięta milczeniem zarówno przez polityków polskich, jak i przez Państwa Centralne. W tym samym czasie Piłsudski związał się (tymczasowo)

z Austro-Węgrami w wojnie z Rosją, i przy pomocy polskich polityków galicyjskich w parlamencie wiedeńskim – przekształcił “Strzelca” w Legiony Polskie, podległe Naczelnemu Komitetowi Narodowemu. Zostały stworzone trzy Brygady, liczące około 25.000 żołnierzy; Pierwszą dowodził komendant Piłsudski, Drugą – płk Józef Haller. Obie brygady wzięły udział w bojach na froncie wschodnim.

Ofensywa niemiecko-austriacka w 1915 roku usunęła wojska rosyjskie z rdzennych obszarów Polski i Kongresówka wraz z Warszawą znalazła się pod wspólną niemiecko-austriacką okupacją. Gubernatorami zostali: gen. Hans von Beseler (Warszawa) i gen. Erich Diller (austriacki) w Lublinie. Ze względów politycznych odmówiono Legionom pozwolenia na wejście do Warszawy.

Wypadki te spowodowały polityczny oddźwięk. Premier rosyjski ofiarował przyszłej Polsce autonomię i wcielenie w jej granice pozostałych zaborów. To wywołało z kolei reakcję Państw Centralnych, które po raz pierwszy ofiarowały Polakom – nie niepodległość – ale “wolność rozwoju narodowego”. (Np. stworzono w Warszawie polski uniwersytet i politechnikę).

15 sierpnia przyjechał do Warszawy J. Piłsudski i rozpoczął pracę nad organizacją zakonspirowanej POW – Polskiej Organizacji Wojskowej. W tym czasie na drugim końcu Europy Roman Dmowski, mieszkający w Londynie, wystosował **memorandum** do rządu brytyjskiego, domagając się w nim przywrócenia niepodległości Polsce, a nawet sugerując jej przyszłe granice. Skoro jednak Rosja, sojusznik Ententy (Francji i W. Brytanii) twierdziła, że sprawa Polski jest wyłącznie jej sprawą wewnętrzną, zachodni alianci nie zareagowali na memorandum Dmowskiego.

Rok 1916 minął w zasadzie bez postępów. Zawiedziony tym Piłsudski podał się do dymisji. Dopiero 5 listopada generalni gubernatorzy zapowiadają w imieniu swoich cesarzy, stworzenie Królestwa Polskiego z ziem zaboru rosyjskiego, ale nie tych będących pod ich własnym zaborem. Wobec dużych strat wojskowych własnych armii, proponują również stworzenie armii polskiej, co zostało przez polskich polityków odrzucone.

Dopiero rok 1917 i związane z nim kataklizmy sygnalizują postęp. W styczniu powstaje w Warszawie Tymczasowa Rada Stanu, w której Piłsudski obejmuje kierownictwo spraw wojskowych. 22 stycznia prezydent Woodrow Wilson, wciąż jeszcze neutralnych Stanów Zjednoczonych, podnosi w Kongresie sprawę niepodległości

Polski, a po abdykacji 15 marca cara Mikołaja II Tymczasowy Rząd Rosji ofiaruje niepodległość Polski na terenie wszystkich trzech zaborów, pod warunkiem jej sojuszu wojskowego z Rosją.

Wydarzenia te wynoszą sprawę Polski na forum międzynarodowe. 4 czerwca prezydent Francji, Raymond Poincaré zezwala na utworzenie armii polskiej pod dowództwem gen. Luis Archinarda.

Przyszłe granice państwa Polskiego stają się znów przedmiotem sporów politycznych. Wynika to z tego, że w swoim memorandum R. Dmowski włączył oprócz rdzennych terenów polskich, także Litwę i Białoruś. Jednak rozwój świadomości narodowej i dążenie do niezawisłości, szczególnie na Litwie (Kowno, Wilno), wymagały według J. Piłsudskiego innego rozwiązania – powrotu do przedrozbiorowej idei federacji.

Oslabienie Rosji, szczególnie po wybuchu rewolucji komunistycznej, pozbawiło Piłsudskiego atutu stworzenia silnej i dużej armii polskiej. Państwa Centralne straciły zainteresowanie dla tworzenia formacji, które walczyłyby na Froncie Zachodnim, a na Wschodzie nie były już potrzebne. Tak więc zaistniał problem Legionów. Austro-Węgry zaproponowały stworzenie małej Polnische Wehrmacht, złożonej z Legionów oraz Polaków – jeńców “rosyjskich”, i zażądały od Legionistów złożenia przysięgi na wierność. Zadanie to, jak i stworzenie w Rosji przez Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowy Korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, zmuszały Piłsudskiego z jednej strony do zasadniczej zmiany polityki wobec Rosji, z drugiej zaś do zerwania oficjalnie z Państwami Centralnymi. Podał się więc do dymisji i wezwał legionistów do nie składania przysięgi. Tylko płk J. Haller i jego brygada odmówiły wykonania austriackiego rozkazu. Legioniści dwóch pozostałych brygad zostali albo internowani (dot. to b. poddanych rosyjskich) albo wcieleni do armii austriackiej i wysłani na front włoski.

Komendant Piłsudski i jego szef sztabu płk Kazimierz Sosnkowski zostali aresztowani i znaleźli się w twierdzy w Magdeburgu. Aresztowania objęły także zdekonspirowaną częściowo POW, resztką której wciąż jeszcze będzie dowodzić Edward Rydz-Śmigły.

Polityczna organizacja "piłsudczyków", pod nazwą Konwent Organizacji A (pod kierownictwem Jędrzeja Moraczewskiego i współpracy Mieczysława Miedzińskiego), również zszedł do podziemia.

15 września Państwa Centralne powołały polskie władze państwowe, tworząc 3-osobową Radę Regencyjną, składającą się z abpa Aleksandra Kakowskiego, księcia Zdzisława Lubomirskiego i Józefa Ostrowskiego. Rada ta miała istnieć do czasu obioru króla. Rada powołała z kolei rząd Jana Kucharzewskiego. Jak mało był on znaczący okazało się w styczniu i lutym 1918 roku, gdy jego przedstawiciele nie zostali dopuszczeni do **pertraktacji pokojowych w Brześciu n. Bugiem podczas których Niemcy i Austro-Węgry oddały Centralnej Radzie Ukraińskiej – Małopolskę Wschodnią i część Lubelszczyzny z Zamościem.**

Protestując przeciwko pokojowi brzeskiemu, oddziały II Brygady usiłowały przebić się pod Rarańczą przez linię frontu i przejść na stronę rosyjską. Udało się to tylko ok. 2.000 legionistom, którzy weszli wówczas w skład 2 Korpusu Polskiego w Rosji. Korpus ten został otoczony i rozбитo pod Kaniowem. Józef Haller wymknął się z okrążenia i dotarł do Francji, gdzie mianowany generałem objął dowództwo wciąż jeszcze tworzącej się Armii Polskiej (zwanej później "Błękitną Armią" od koloru mundurów – Red.). Choć nie wzięła ona nigdy udziału w walkach na froncie zachodnim, przez swe istnienie stała się jednak pomocna Dmowskiemu, którego Komitet został teraz przez koalicję uznany.

Niepowodzenia wojenne na froncie wschodnim zmieniły zasadniczo sytuację Państw Centralnych, szczególnie monarchii habsburskiej. Wydarzenia potoczyły się teraz szybko. Dzień 19 października był świadkiem pierwszej próby przejęcia władzy przez nowoutworzoną Radę Narodową Ziemi Cieszyńskiej, która po rozbrojeniu garnizonu austriackiego w Cieszynie objęła oficjalnie władzę 30 października. Dzień później, powołana przez galicyjskich posłów Polska Komisja Likwidacyjna przejęła władzę w Krakowie, tworząc tymczasowy rząd z Wincentym Witosem na czele i brygadierem Roją z teką wojskową.

W Małopolsce Wsch. sytuacja rozwinęła się inaczej. 1 listopada 1919 r. Ukraińska Rada Narodowa opanowała podstępnie Lwów. Krwawe walki o miasto pod dowództwem kpt. Czesława Mączyńskiego trwały niemal do końca miesiąca, z dużym udziałem patriotycznej młodzieży gimnazjalnej, a nawet młodszej – ochrzczonej po zwycięstwie mianem "Orląt Lwowskich".

W Kongresówce Rada Regencyjna rozwiązała (7 X) Radę Stanu i ogłosiła powstanie niepodległej Polski. Powołany przez nią rząd (głównie endecki) Józefa Świerzyńskiego, kompromitując się zadaniem rozwiązania i ustąpienia Rady Regencyjnej, musiał poddać się 7 XI do dymisji. Z kolei wspomniany wcześniej Konwent Organizacji A (piłsudczyków) utworzył rząd polski w Lublinie pod nazwą Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim (przywódcą socjalistów) jako premierem. Ten skrajnie radykalny twór nie znalazł poparcia w społeczeństwie i żywot jego był krótki, trwał zaledwie kilka dni.

Koniec tych manewrów i gier politycznych nastąpił 11 listopada. W tym dniu powrócił z magdeburskiego więzienia Józef Piłsudski, który już wieczorem przyjął z rąk Rady Regencyjnej stanowisko d-cy wojsk polskich.

Trzy dni później – 14 XI – Rada Regencyjna rozwiązała się, przekazując władzę Józefowi Piłsudskiemu, który jako Naczelnik Państwa miał sprawować ją do chwili powołania Sejmu i opracowania Konstytucji.

Głucha noc przeszło wiekowej niewoli dobiegała więc końca, chociaż Wielkopolska, Śląsk i Pomorze wciąż jeszcze czekać będą na wolność przez parę miesięcy. II Rzeczypospolita powstała jak Feniks z popiołów. Czekać ją będą trudne lata walki z Ukrainą, nawałą bolszewicką, problemy gospodarcze zrujnowanego i obrabowanego kraju, przewrót polityczny w maju 1926 roku, ale również – wreszcie - dziesięć lat stabilizacji, rozrostu i wkroczenia na scenę światową.

Ta ostanía piękna karta naszej historii kończy się niestety tragicznym wrześniem 1939 roku.

Antoni Gołębiowski

Warszawa

Jak ptak wędrowny

Raz w roku przylatuje do Polski, do Warszawy. Przesiada się na autobus rejsowy do Tarnopola, jedzie przez całą noc, a stamtąd już tylko krok do Skałatu, tego skrawka ziemi, która go urzekła, o której śni i którą ukochał.

Chaim Braunstein, bo o nim mowa, urodził się w Skałacie w 1929 roku w biednej rodzinie żydowskiej, mieszkającej przy ul. Legionów, blisko Urzędu Gminnego.

Z rozrzewnieniem wspomina swoje dzieciństwo i piękną przyrodę Podola, która *przez cały rok malowała jego życie*. Jako sześciolatek chłopiec, uczęszczający do chederu, w sposób szczególny przeżył śmierć Marszałka Piłsudskiego, kiedy to cała jego klasa szła do bóżnicy na uroczystości żałobne. Dziś, po latach, określa to jako jego *pierwsze spotkanie z realiami śmierci*.

Rok później rozpoczął edukację w skałackiej szkole powszechnej w klasie p. Wyrozumskiej, którą najcieplej wspomina. Nauka w szkole powszechnej była pięknym okresem w jego dzieciństwie, które skończyło się w czerwcu 1941 roku. Nadeszły straszne lata. Chaim Braunstein przeżył wszystkie akcje eksterminacyjne. Przeżył też tę ostatnią: likwidację skałackiego getta w lipcu 1943 roku, kiedy stracił całą rodzinę, a sam uratował się tylko dlatego, że wiedziony instynktem samozachowawczym, ukrył się pod łóżkiem.

Po zakończeniu likwidacji getta w Skałacie – czternastoletni chłopak błąkał się samotnie przez kilka miesięcy po okolicznych polach i lasach. Przymierał głodem, cierpiał z zimna i bliski był śmierci. Wynędzniałego chłopca spotkał kiedyś jakiś człowiek i zapytał czy jest Polakiem czy Ukraińcem. Powiedział, że jest Polakiem i ma na imię Kazik.

Po tygodniach i miesiącach samotnej poniewierki dotarł do wsi Wolica koło Krasnego. Tam dobrzy ludzie przygarnęli Kazika i chociaż wkrótce wszyscy wiedzieli, że był Żydem – nikt go nie wydał. A Kazikiem pozostał tam do dziś.

Został na świecie sam. Nikt z jego rodziny nie ocalał. Po wojnie opuścił Wolice i Skałat, wyjechał do Bytomia, a w 1946 r. był już w Palestynie. Tam jako 18-letni młody człowiek został zmobilizowany do służby wojskowej, ale po roku rozpoczął już naukę. Musiał nadrobić zaległości i to w języku hebrajskim. Pracował ciężko dzień i noc w trudnych warunkach materialnych, ale po czterech latach ukończył znany college nauczycielski w Jerozolimie, a następnie studia uniwersyteckie. Ale prawdziwym uniwersytetem były dla niego lata holocaustu i wszystko co widział i przeżył w *dalekich polach i lasach jego dawnej ojczyzny*.

Nauczycielem i wychowawcą był w swoim kraju przez 44 lata, a przeżycia z dzieciństwa i wczesnej młodości ukształtowały go jako człowieka szczególnie uwrażliwionego na dzieci i młodzież, jej potrzeby, upodobania, zróżnicowane stany psychiczne i emocjonalne. O tym, że misję swoją jako pedagog i wychowawca wykonał dobrze – świadczą setki listów jego dawnych uczniów, dzisiaj ludzi dorosłych, wdzięcznych mu nie tylko za dar wiedzy i wartości duchowe, które im wszczepiał, ale także za serce i wiarę w dobro, które tkwi w człowieku.

Swoją sentymentalną podróż do Skałatu odbył Chaim Braunstein w tym roku po raz jedenasty. W Skałacie i nie tylko, bo i w dawnym powiecie skałackim, jest postacią znaną. To niemal człowiek-instytucja. Za każdym razem spędza tu kilka dni. Chodzi po ulicach i zakątkach, fotografuje, odwiedza ludzi, a wrażliwy na biedę – nie pozostawia ich bez pomocy. Kiedy znajdzie się na drodze do Krzywego – prosi o krzesło lub taboret i siedząc godzinami wpatruje się w krajobraz, patrzy na staw Dubrowskiego, na ptactwo wodne, unoszące się nad szuwarami i chłonie ten widok, jakby chciał go ze szczegółami utrwalić w pamięci.

W niedzielę jest na nabożeństwie w cerkwi, a następnie przychodzi na mszę do kościoła i chyba dziękuje Wszechmocnemu za dar ocalenia życia. Jest dobrym duchem, który krąży po swojej dawnej małej ojczyźnie i dzieli się z ludźmi nie tylko dobrym słowem. Nie omija miejscowych władz, z którymi współpracując doprowadził wraz z innymi współwyznawcami do wzniesienia pomników pamięci męczeństwa Żydów w Skałacie i pod Nowosiółką Skałacką.

Sylwetkę Chaima Braunsteina uzupełnia jego umiłowanie języka polskiego i zainteresowanie najnowszą historią Polski. Z językiem polskim nie miał kontaktu przez 50 lat i odnowił go dopiero kilkanaście lat temu, kiedy zaczął pielgrzymować do Skałatu.

Wracając z każdorazowej podróży, zatrzymuje się na kilka dni w Warszawie. Odwiedza księgarnie, z przyjemnością przechadza się alejkami warszawskich parków, a wsłuchując się w gwar uliczny – delectuje się mową polską, której jest spragniony.

Wraca obładowany książkami, głównie historycznymi, a także płytami, których ma w domu wiele. A kiedy od czasu do czasu usłyszy “Kiedy ranne wstają zorze...” chce mu się płakać.

- *Skąd ta polszczyzna u mnie?* – zastanawia się czasem.

- *Wszystkiemu winna moja pierwsza nauczycielka, Pani Emilia Wyrozumska, chylę przed nią czoło* – odpowiada sam sobie.

U siebie, w Izraelu, pozostaje w stałym kontakcie z Polską i śledzi uważnie wszystko, co jej dotyczy, a korzystając z internetu czyta polskie pisma codzienne i żyje życiem swojej dawnej ojczyzny.

Przywiózł też ze Skałatu sadzonkę drzewa, które posadził w przydomowym ogródku, pielęgnuje, podlewa i wierzy, że urośnie i przypominać mu będzie jego daleką, dawną ojczyznę.

Podobno znaleziono kiedyś na polach ptaka wędrownego z tkwiącą w jego ciele strzałą, którą ugodził go zapewne myśliwy w Afryce. Ptak wracał do swojego gniazda. Kazik – Pan Chaim Braunstein, choć w swoim gnieździe ciężko w młodości zraniony – wraca do niego, do Skałatu, który ukochał.

Antoni Gołębiowski

Warszawa

W rocznicę Kainowej zbrodni

Mieszkańcy Warszawy i Kresowianie mieszkający w stolicy oraz kombatancki ze sztandarami wypełnili licznie kościół Wszystkich Świętych w dniu 19 listopada, uczestnicząc we Mszy św., odprawionej w intencji ponad stu Księżych Męczenników bestialsko pomordowanych przez OUN-UPA w latach 1939-1945 na Kresach Wschodnich.

Mszę św., poprzedzoną historycznym wprowadzeniem p. Ewy Siemaszko, odprawił w koncelebrze ks. infułat Zdzisław Król, wikariusz biskupi. W swojej homilii podkreślił on z całą mocą, iż 60 rocznicę apogeum zaplanowanej i sprawnie przeprowadzonej zbrodni ludobójstwa na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich obchodzimy nie po to by wzniecać nienawiść, ale by poznać prawdę, gdyż tylko ona pozwoli zrozumieć i przebaczyć.

Zastanawiał się też nad źródłem nienawiści, z jaką dokonano bestialskich mordów na Polakach. Mordów, które nie były walką wyzwolenczą tylko zorganizowanym ludobójstwem, a za takie sądzono w Norymberdze. Z wdzięcznością wspominał też wielu prawych Ukraińców, którzy oddali swoje życie za to, że ostrzegli polskich sąsiadów przed grożącym im niebezpieczeństwem. To pamięć o nich może pomóc w ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków z narodem ukraińskim.

Wzruszająca w swej treści była modlitwa wiernych, kończąca liturgię Słowa. Błagano w niej Boga o siły do wydobycia z odmętów politycznych spekulacji, przemilczeń i kłamstw prawdy o ludobójstwie i męczennikach, o przywrócenie tej prawdy narodom Polski, Ukrainy i świata, o pokój wieczny dla tych Ukraińców, którzy uratowali Polaków. Modlitwą ogarnięto również historyków polskich i ukraińskich, by mieli odwagę nieulegania koniunkturze i poprawności politycznej i nie godzili się na deformację faktów na rzecz doraźnych interesów politycznych. Modlono się też za parlamentarzystów, którzy w dniu 11 lipca 2003 r. sprzeciwili się haniebnej uchwale, stawiającej na jednej płaszczyźnie bezbronne ofiary z ich katami.

Na zakończenie, zamordowanych bestialsko ponad stu księży i towarzyszących im wiernych wzywali do apelu pp. Leon Łochowski i Tadeusz Socha (żołnierz 27 Dywizji AK).

Tę podniosłą uroczystość, którą uświetnił chór "Polonia" im. Ignacego Jana Paderewskiego przygotował organizacyjnie Ogólnopolski Społeczny Komitet Obchodów 60 rocznicy ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ludności Kresów

W 60. rocznicę ludobójstwa na Kresach Wschodnich ukazały się dwie nowe publikacje naszych Rodaków:

1. Kazimierz TURZAŃSKI
"Eksterminacja ludności polskiej na Trembowelszczyźnie w latach 1939-1946", Wrocław 2003 r. Wyd. SUOZUN, ss. 245.
2. Stanisław JASTRZĘBSKI
"Martyrologia polskiej ludności w woj. lwowskim w latach 1939-1947. Zbrodnie popełnione przez nacjonalistów ukraińskich". 2003 r. ss. 580.
Praca oparta na 79 dostępnych dokumentach, w tym na relacjach świadków mających wartość dokumentu.

Wschodnich oraz Społeczna Fundacja Pamięci Narodu Polskiego.

Irena Sarnecka-Derkacz

Trzymając opłatek

Co Wam dzisiaj pragnę powiedzieć
W blasku choinkowego światła -
Że Was kocham! To rzecz oczywista
i łatwa...

Bo jedną mamy tradycję,
Tą samą mówimy mową,
Ten sam mamy łatany i biedny
dach nad głową.

We wspólnym domu żyjemy
Co się Ojczyzną nazywa, i w sercach
Tak samo chcemy, by była wolna,
szczęśliwa.

Do tej naszej rodzinnej ziemi
Każdy z nas korzeniami przylega.
Tu pradziad był, syn i wnuk jest,
i alfa i omega...

Stanisław Sulimir Żuk

Warszawa

Skrawek piekła na Podolu

Cz. IV

Opuszczamy Urszulin – ratujemy wartość najcenniejszą

Po zagładzie **Huty Pieniackiej**, spaleniu **Huciska Brodzkiego** i wymordowaniu ludności polskiej w **Podkamieniu** było coraz wyraźniejsze, że to najgorsze stanie się dla nas nieuniknione.

Na trzeci dzień po moim powrocie z Huty Pieniackiej, przybiegła do nas w nocy z Perelisek Ukrainka, Olga Semczuk, przyjaciółka mojej Mamy, i nie mogąc wyrzucić z siebie tego co chciała powiedzieć, wybełkotała z płaczem tylko...

- Uciekajcie!... Wydano na was wyrok!... Nie przeżyjecie niedzieli! Nic więcej nie można było od niej wydobyć. Powtarzała tylko w kółko: Uciekajcie! Uciekajcie jak najszybciej! Zaraz, jutro!

Nie udało nam się od niej dowiedzieć ani kto wydał wyrok, ani za co? Do dziś nie wiem skąd o tym wiedziała. Ale teraz już wiem, że wyrok wydał komendant policji ukraińskiej w Podhorcach – Krasnoselśkyj i Wołodymyr Czerniawśkyj – inicjatorzy i uczestnicy zagłady Huty Pieniackiej oraz ludobójstwa w Podkamieniu.

Czerniawśkyj, odnaleziony po wojnie w Polsce, został za popełnione zbrodnie (nie tylko w Hucie Pieniackiej) skazany w dniu 15 stycznia 1950 roku przez Sąd Apelacyjny w Katowicach, na sesji wyjazdowej w Koźlu (dziś Kędzierzyn-Koźle – red.) skazany na karę śmierci.

Po ostrzeżeniu o wydanym na nas wyroku, rodzice postanowili wyjechać.

Uciekamy więc z tego padolu nieszczęścia i rozpacz. Każda godzina zatrzymania się na miejscu to śmiertelne niebezpieczeństwo. Ojciec, legionista zaprawiony w bojach z bolszewikami w kampanii kijowskiej, był odważnym człowiekiem. Chciał nadal bronić swego mienia i dorobku życia, ale Mama podjęła nieodwołalną decyzję:

- Jeśli ty zostajesz, to ja zabieram dzieci i uciekam. - Wtedy Ojciec skapitulował. Widziałem, jak ciężka była to dla niego decyzja. Jeszcze raz obszedł, w głębokim smutku i zamyśleniu, cały majątek i wszystkie pomieszczenia domu. Jakby się żegnał z tym co tu stworzył, i na co tyle lat pracował. Jakby chciał dokładnie zapamiętać, co tu zostawia. Teraz, po latach, zdaję sobie sprawę z tego, jak to wtedy przeżywał.

Front wschodni zbliżał się z godziny na godzinę. Coraz głośniejsze słychać było dudnienie frontowych dział. Niemców już ani śladu. Sowieci mogli zjawić się w każdej chwili. Ukraińcy szaleli w amoku mordowania Polaków; śpieszyli się wiedząc, że władza radziecka rozprawi się z nimi. Chcieli jak najwięcej wykonać ze swego "świętego dzieła", wymordować ile się da Polaków i spalić polskie domostwa. W nocy niebo czerwone było od pożarów.

Nasze przygotowania do wyjazdu przebiegały szybko i trwały krótko, bowiem każdy dzień, ba, każda godzina mogły kosztować życie. Na jutro zamówiono dwoje sań. Ojciec skontaktował się rano z Samoobroną, aby przekazać jej całe posiadane przez nas uzbrojenie. A było tego sporo. Plan był taki: broń ukryto na dnie sań; gdyby napadnięto nas po drodze, to byśmy się bronili. Prowadzący sanie byli członkami Samoobrony, dobrze przeszkoleni w posługiwaniu się bronią. Ale ze sobą nie zabraliśmy nic, bo tu na miejscu broń była bardzo potrzebna.

Nie wiadomo w jaki sposób okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się, że wyjeżdżamy. Rano dom był pełen ludzi. Przyszli Polacy i Ukraińcy, ludzie nam bliscy i tacy, których prawie nie znaliśmy – niby pożegnać się. Byłbym niesprawiedliwy gdybym źle oceniał wszystkich. Niektórzy naprawdę przyszli pożegnać się z nami. Wiele cennych rzeczy rozdali rodzice wtedy przyjacielom i znajomym.

Pakowaliśmy się w pośpiechu. Położyłem obok siebie walizkę prawie zapelnioną, i odwróciłem się do szafy aby wyjąć następne rzeczy, a walizki z zawartością już nie było... Rabowanie naszego mienia zaczęło się jeszcze przed naszym wyjazdem. Zabraliśmy głównie żywność i trochę ubrań. Potem dowiedzieliśmy się, że już następnego dnia powyrywano okna i drzwi w naszym domu, zerwano podłogi.

Konie ruszyły. Było to 14 marca 1944 roku w południe. Śnieg był jeszcze duży, ale mróz zelżał i zbliżała się odwilż. Jechaliśmy w nieznane... Serce ścisnął żal, do oczu napływały łzy. Mama i Ojciec nie mogli ich powstrzymać. Jola była zbyt malutka żeby zrozumieć co się dzieje. jednak płakała także. Nastrój rozpaczny i wielkiej straty ogarnął nas wszystkich.

Kiedy byliśmy przy figurze Matki Boskiej przed Wołochami na drodze do Poniwkwy, kiedy sylwetka naszego domu zaczęła znikać za wzgórzem, Mama gorzko płacząc przeżegnała się. Żal wprawiał moje piersi w drgania. Czy jeszcze kiedyś zobaczą nasz dom? Okazało się, że domu zbudowanego z takim trudem, w którym przeżyliśmy pięć lat ciężkiego życia czasu wojny, nikt z nas już nigdy nie zobaczył.

Przejechaliśmy szybko przez Wołochy. Przed kościołem naszej parafii Mama kazała zatrzymać konie na chwilę. Zmówiliśmy krótką modlitwę. Plebania była pusta. Proboszcz ks. Antoni Reczuch przeniósł się, ratując życie, do Brodów. Gospodarstwa wiejskie były puste, wyludnione, nikt nawet nie wyjrzał przez okno. Minęliśmy zdewastowany, piękny niegdyś pałac Bocheńskich, jezioro, browar po prawej stronie i sanie szybko pomknęły w kierunku Brodów.

Nie byliśmy jedynymi wygnańcami. Setki tysięcy rodaków opuszczało tę umiłowaną piękną ziemię i, aby chronić życie, uciekało na zachód kraju.

Do Brodów udało się nam dotrzeć bez przeszkód jeszcze tego samego dnia. Zatrzymaliśmy się u kuzyna Mamy, Jasia Horbaczyńskiego. Przyjęli nas życzliwie i przyjaźnie. Rozlokowaliśmy się u nich wygodnie, mieli obszerny dom, starczyło miejsca dla wszystkich.

Brody były wówczas miastem o przewadze ludności polskiej. Ubyło w nim mieszkańców, gdyż Niemcy i ukraińscy faszyci wymordowali lub wypędzili z Brodów wszystkich Żydów (ponad 60% mieszkańców). W owym czasie było jednak ludności więcej niż przed wojną, schronili się tu bowiem Polscy wygnańcy z ziem Wołynia i Podola spływających krwią, palonych i rabowanych przez terrorystyczne watahy UPA, a którym – jak nam – udało się ująć z życiem.

Skupisko ludności polskiej w Brodach liczyło w tym czasie ponad 30 tysięcy osób. Działały tu w okolicy silne jednostki AK wyposażone w broń, zdolne stawić czoła znacznej sile bandytów. Ukraińscy terroryści mieli swój wywiad wszędzie i wiedzieli o tym dobrze. Nie odważyli się więc atakować takiej siły. W Brodach stały też jednostki Wehrmachtu, który niezbyt sprzyjał ukraińskim bandom. Zagrożeniem

były natomiast stacjonujące w Brodach bataliony SS-Galizien, które zachowywały się agresywnie w stosunku do Polaków. Miasto kipiało życiem, kwitł nielegalny handel. Żołnierze niemieccy, zwłaszcza ci powracający z frontu, sprzedawali wszystko, przeważnie broń ale także najróżniejsze rzeczy zrabowane w Rosji. Intensywny był ruch samochodowy i kolejowy. Transporty broni, wyposażenia i amunicji szły na front, a ze wschodu szło zrabowane mienie. Wojsko jeździło w obu kierunkach, ranni i wyczerpani z frontu, a świeże siły na front.

U Horbaczyńskich było na kwaterze dwóch oficerów Wehrmachtu. Zachowywali się spokojnie i sympatycznie. Z przerażeniem w oczach opowiadali o tym, co dzieje się na pierwszej linii. Bali się straszliwie nowej sowieckiej broni rakietowej, zwanej "katiuszami". Przed katiuszami – mówili nie ma obrony, ani schronienia.

Przez Brody przewalały się później pod naporem sowietów wycofujące się wojska niemieckie. Widziałem na stacji transport rannych żołnierzy Wehrmachtu, zebranych z pola bitwy przed kilkoma dniami. Stłoczeni w wagonach towarowych w przerażającym stanie, krwawili bez środków opatrunkowych, bez dostatecznej opieki lekarskiej. Kilku lekarzy dokonywało operacji w prymitywnych warunkach wagonu kolejowego. Zmarłych wynoszono na wozy konne i odwożono na cmentarz. To już nie byli ci butni "Übermensche, którzy opanowali "Blitzkriegiem" większość Europy. Przypadkowi przechodnie z trwogą patrzyli na tych "nadludzi" pokonanych i pobitych.

O zagładzie Huty Pieniackiej raz jeszcze

Po kilku dniach od naszego przyjazdu do Brodów, dotarł tu szczęśliwie ku naszej wielkiej radości, z żoną i malutkim dzieckiem wujek Wojtek Kierepka, brat mojej Mamy. Byli wycieńczeni do ostatnich granic. Przywieźli straszne potwierdzenie tego, co sam widziałem w Hucie Pieniackiej.

28 lutego 1944 r. Huta Pieniacka została doszczętnie zlikwidowana – zrabowana i spalona, a jej mieszkańcy wymordowani lub spaleni żywcem. To, co opowiadał wujek, wprawiało nas w rozpacz i przygnębienie. Rodzice mojej Mamy – Wincenty i Urszula Kierepkowie nie żyją, a ich dom i całe gospodarstwo spalone.

A oto relacja wuja, naocznego świadka zagłady Huty Pieniackiej, której wówczas wysłuchaliśmy, a ja do końca życia jej nie zapomnę.

Po odparciu przez Samoobronę polską ataku na Hutę Pieniacką w dniu 23 lutego 1944 r. połączonych sił ukraińskich, bojówek UPA i żołnierzy SS-Galizien, Ukraińcy pozostawili w lasach naokoło Huty swoich obserwatorów. Wiedzieli więc o ruchach oddziałów AK i partyzantów rosyjskich. Na początku lutego przebywały w Hucie duże oddziały tych partyzantów. Odbyło się spotkanie dowódców obu ugrupowań. Rosjanie zażądali całkowitego podporządkowania się AK i polskich podziemnych ośrodków politycznych sowieckiemu dowództwu partyzantki. Polacy oczywiście nie wyrazili na to zgody. Po otrzymaniu żywności i zaopatrzenia 200-osobowy oddział partyzantów sowieckich opuścił Hutę Pieniacką.

W niedzielę 27 lutego służba informacyjna Samoobrony doniosła, że w okolicy Złoczowa jednostka SS-Galizien w sile 1.500 ludzi przygotowuje się do ataku na Hutę Pieniacką. (1.500 uzbrojonych po zęby żołnierzy – na jedną wieś!) Samoobrona intensywnie przygotowywała się do odparcia ataku. Docierały tu jednak sprzeczne informacje, również takie, że samoobrona i zdolni do walki mężczyźni powinni wieś opuścić, wtedy nie zostanie zaatakowana. Nie było pewności, czy była to prowokacja. Zdarzyło się bowiem, że w Majdanie niedaleko Huty, gdzie weszły jednostki SS-Galizien i przeszukały wieś, ustąpiły nie znalazłszy broni.

Dezorientacja spowodowała, że część żołnierzy Samoobrony wycofała się z bronią do lasu. Na zaatakowanie wsi wybrano moment, gdy sowiecka partyzantka opuściła wioskę, a uzbrojonych żołnierzy AK było w niej tylko kilkudziesięciu.

28 lutego 1944 r. nad ranem żołnierze SS-Galizien wraz z bandami UPA otoczyły wieś pierścieniem. Około godz. 6-ej, na sygnał kolorowych rakiet świetlnych, rozpoczął się koncentryczny atak. Wieś została ostrzelana z broni maszynowej i moździerzy. Od pocisków zapalających i wybuchów granatów zaczęły płonąć zabudowania. Pierścień atakujących zaciskał się coraz bardziej. Zaciekły opór Samoobrony został szybko złamany, nie była bowiem przygotowana do odpierania tak zmasowanego ataku. Ukraińscy SS-mani wraz z cywilnymi bandami UPA wdarli się do Huty Pieniackiej. Za nimi sunęły podwody konne, przygotowane do rabunku mienia skazanych na zagładę mieszkańców wsi.

Napastnicy wpadali się do domów i wywlekali z nich wszystkich zastanych tam ludzi – kobiety, starców i dzieci, nawet osoby chore. Cenniejsze mienie ładowali na podwody, a do mieszkań wrzucali granaty i podpalali budynki. Wyprowadzali również domowe zwierzęta – konie, krowy, nierogaciznę. Wypełnione wozy odjeżdżały, a wracały puste po następny łup. Szalał terror. Zauważono, że cywilni bandyci z OUN-UPA byli bardziej bezwzględni niż ci w mundurach SS-Galizien. Rzadko używali broni palnej – mordowali bezbronnych nożami i siekierami. Nie oszczędzali dzieci! Wybrany sposobem zabijania małego dziecka było chwycenie go za nóżki i rozbijanie główki o mur, lub rozdeptywanie podkutym butem, względnie przydeptanie jednej nóżki butem do ziemi i poderwanie drugiej oburącz w górę.

Wywleczonych z domu mieszkańców spędzono do środka wsi, do kościoła. Kto próbował ratować się ucieczką, spotykała go seria z broni maszynowej. Napastnicy przeszukiwali domy, stodoły, piwnice, kryjówki. Zewsząd słychać było krzyki, błagania o litość, jęk mordowanych i rannych ludzi, a huk ognia płonących budynków ciągle wzrastał. Nie ustawała strzelanina, wybuchy granatów i pocisków moździerzowych. Słowem – piekło!

Jeden z ocalałych mieszkańców, zeznając po wielu latach przed prokuratorem, relacjonował: *... leżąc w kryjówce na strychu słyszałem strzały, płacz i jęki mordowanych ludzi. Słyszałem płacz dziecka, które prosiło... "zabijcie mnie koło mamusi, bo mamusia już nie płacze i nie oddycha...ale zabijcie mnie z daleka..." A po chwili jęk... i dziecko umilkło.*

cdn.

Korekta:

W nr 60 "Głosów Podolan na str. 30 pomyłkowo podano nazwę Radwanowice k. Krakowa. Poprawna nazwa Radwanice k. Krakowa.

Syberyjskie zesłanie

Cz. V – ostatnia

W Pawłodarze była polska szkoła, więc zapisałam do niej Dobrochnę. Danusia nie chciała iść do szkoły, bo musiała pracować. Nowy dyrektor "Pieduczyliszcza" zainteresował się tym. Jak to, taka dziewczynka do szkoły nie uczęszcza? Gdy dowiedział się o przyczynie, tak zorganizował jej pracę, iż nazywało się, że Danka pracuje a naprawdę chodziła do szkoły.

Już w Pawłodarze dowiedziałam się, że w przytułku dla starców mieszka pani Januszowa, wywieziona wraz z nami z Chołojowa. Odwiedziłam ją. Był to barak zastawiony pryzkami, zgodnie z nazwą "przytułek". Pani Januszowa była bardzo wyczerpana, widać było na niej cierpienie, była bardzo biedną starszą kobietą. Nic nie zostało w niej z dawnej osoby. Czułam, że widzimy się po raz ostatni. Nie wiedziałam co mówić, jak ją pocieszyć. Jej mąż, podobnie jak mój, także się nie odnalazł. Wkrótce pani Januszowa zmarła.

Zbliżał się dzień 7 listopada – rocznica rewolucji. Od czasu zniesienia oblężenia Leningradu przez wojska niemieckie, dyrektorowi szkoły przydzielono do pomocy komendantkę, która zajmowała się sprawami administracyjnymi. Na rocznicę rewolucji poleciła mi przystroić świetlicę. Przyniosłam świerkowych gałęzi, udekorowałam nimi portrety, trochę gałęzi rozwiesiłam na ścianach, umyłam podłogę i poszłam po komendantkę, aby oceniła pracę. Wpadła w zachwyty: *Sonia, kak ty eto choroszo zdielala!*

Dyrektor – Rosjanin, w przeciwieństwie do swego poprzednika Kazacha – często rozmawiał ze mną, pytał jak jest w szkołach w Polsce.

Po akademii rocznicowej był wieczorek taneczny. Danka stała za drzwiami. Przyszła do mnie z płaczem pytając, czy kiedyś w życiu będzie miała takie pantofelki, żeby mogła w nich tańczyć? Młodzież w internacie często wieczorami grała i

śpiewała. Byli weseli, chociaż na pewno głodni. Nam natomiast dni wlokły się straszliwie i ciężko było przeżyć każdy dzień.

Ten ostatni okres w Kazachstanie oceniam jako najlepszy. Danusia twierdzi, że był najgorszy i gdyby trwał dłużej, to chyba by nie przeżyła.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Oszczędzałyśmy trochę, aby na Wigilię móc zrobić barszcz i pierogi. Świąt kościelnych w Kazachstanie nie obchodzono, dzieci miały w szkole naukę. Święta prawosławne i greckokatolickie wypadają zresztą dwa tygodnie po naszych. Nikt tam jednak o świętach nie wspominał, choć może po cichu coś urządzał.

Pewnego dnia szłam przez miasto i zobaczyłam, że nieznani Polacy padają sobie w objęcia. Co się stało? *Jedziemy do Polski!* – odpowiadali. Rosjanie zaczynają się martwić, kto teraz będzie tu pracował. Nasz dyrektor też się martwił, bo pracowały u niego cztery Polki. Komendantka poprosiła mnie na koniec, abym wyczyściła szkolny ustęp, obiecując za to 50 rubli. Co było robić? Wzięłam siekierę i pół dnia rąbałam, bo to była latryna, bez kanalizacji. Dostałam te 50 rubli, ale już nie pamiętam co za nie kupiłam.

* * *

Pozostawiłam w Pawłodarze łóżko i wanienkę, do kuferka zabrałam garnki, miski i resztę naczyń, które mi jeszcze pozostały. Z ubrania miałyśmy już tylko to, co na sobie. Rosyjskie sprzątaczkі mówiły do mnie: *Sonia, zostań tu. Tam u was będzie teraz to samo co tutaj!*

Wyjechaliśmy z Pawłodaru 19 lutego 1946 r., po sześciu latach zsyłki, w otwartych wagonach. Na drogę dostaliśmy trochę chleba, ale tego nie mogło wystarczyć na całą podróż. Nie mieliśmy zresztą pojęcia jak długo będzie ona trwała.

Przed odjazdem kol. Marszał postarał się, aby każdy dostał po 3 metry materiału, (bardzo lichutkiego) wiedząc, że niektórzy chodzą w spodniach uszytych z worków. Z tego materiału nic nie uszyłam, zabrałam go po prostu ze sobą.

Do naszego transportu doczepiony był wagon z chlebem, a nad całym transportem pieczę sprawował jego kierownik. Gdzieś w połowie drogi skończyły się nasze zapasy i ludzie zaczęli szukać kierownika. A po nim ani śladu. Znikł także wagon

z chlebem. Musiał chyba działać w porozumieniu z kolejarzami i z nimi podzielił się pieniędzmi za sprzedany chleb.

Jechaliśmy już trzy dni bez jedzenia. Widziałam, że niektórzy jeszcze coś sprzedawali na stacjach. Postoje pociągu wypadały w nieprzewidzianych miejscach, a odjazdy odbywały się bez uprzedzenia. Była to jazda poza wszelkimi planami, po zniszczonych torach, niekiedy cofaliśmy się z już przejechanego odcinka. W ten sposób dojechaliśmy do Orła i tu pociąg zatrzymał się na stacji, nie wiadomo na jak długo. Danka zaryzykowała i wyskoczyła na rynek z materiałem, jaki nam przydzielono przed odjazdem. Do rynku było co najmniej kilometr drogi w jednym kierunku, biegła w obie strony. Na rynku uprosiła kogoś żeby kupił od niej ten materiał. Dostała za niego duży bochenek białego chleba, a do niego dodała jej baba litr suchej białej fasoli. Całą powrotną drogę córka pędziła co sił wpatrzona w stojący na torach pociąg, z niemym pytaniem – ruszy czy nie ruszy? Zdażyła! Wpadła na stację pół żywa i mokra od potu.

Postawiłam zaraz na piecyku garnek z wodą i zaczęłam gotować fasolę. Jeszcze nie w pełni ugotowaną dziewczynki wyciągały z garnka i zjadały. O tej fasoli i chlebie z Orła dojechaliśmy do Polski. A Dobrochna w czasie drogi pytała mnie: *Mamo, jak dojedziemy do Polski to ugotujesz cały "czugun" jedzenia?* Na szczęście nigdy już tego nie trzeba było robić.

Wagony, jak wspomniałam, były otwarte, pociąg ruszał niespodzianie, więc nie obyło się bez denerwujących przygód. Kiedyś Dobrochna stała blisko drzwi, pociąg szarpnął, ruszył i dziecko wypadło. Danka bez namysłu dała susa za nią, wrzuciła z powrotem do wagonu jak worek i jeszcze sama zdażyła wskoczyć.

Ciężka była ta droga przez zrujnowany kraj i trwała nieskończenie długo. Jedynie jadąc przez Ural podziwialiśmy piękne widoki, drogi biegnące serpentynami, tory kolejowe zawieszane nad przepaściami, a na nich wijący się wąż wagonów. Niezapomniany widok!

Byliśmy tacy szczęśliwi, że wracamy do Polski. Wszyscy powtarzali, że gdy przekroczymy granicę, to będziemy całowali polską ziemię. Przyrzekaliśmy sobie, że już nigdy i nigdzie z Polski nie wyjedziemy!

Dojechaliśmy do Brześcia n. Bugiem. Na stacji było dużo ludzi. Do nas podszedł jakiś Polak i podając trzy pieczone ziemniaki powiedział: *Wy jedzciecie do Polski, a my w tej nędzy zostajemy...*

W czasie przeładowywania nas na inne tory i do innych wagonów, Danką pobiegła z koleżankami i kolegami zwiedzać Brześć. Odnalazła jakiś kościół, a w nim wielu Polaków.

Wyjechaliśmy z Brześcia nocą i nie wiedzieliśmy kiedy minęliśmy granicę. Dojechaliśmy do jakiegoś zrujnowanego miasta. Pociąg zatrzymał się w morzu gruzów. Byliśmy przerażeni tym widokiem. Zwłaszcza, że nikt z nas nie widział działań wojennych, ani jednego samolotu, ani jednej spadającej bomby. Nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Obok toru szli jacyś robotnicy. *Co to za miasto?* – pytaliśmy. – *Warszawa!* – powiedzieli. Myślałam, że z nas żartują, ale inni mówili to samo. Nie mogliśmy uwierzyć!

Pociąg stał między tymi zwałami gruzu dość długo. Niektórzy wysiedli i krzyczeli, że są głodni. Przyszli jacyś panowie z koszami pełnymi chleba, pokrojonymi na ćwierćkilogramowe kawałki. Każdy dostał jeden kawałek. Dzieci trzymały go dwoma rękoma przy buzi tak długo, dopóki go nie zjadły.

Dowieziono nas do Kutna. Ktoś wysiadł i zobaczył pociąg z napisem "Berlin". Ludzie zaczęli się przesiadać. Ja też wysiadłam, ale pociąg ruszył. Zaczęłam biec za nim, już nawet uchwyciłam się wagonu, ale jakoś obsunęła mi się noga i rozciągnęłam się jak długa na peronie. A z otwartego wagonu dzieci moje krzyczały... *mamę zbito!* Zaraz więc podniosłam się i dzieci zobaczyły, że żyję.

Na peronie pozostało ze mną jeszcze kilka osób. Zobaczyli to kolejarze i za chwilę usłyszeliśmy przez megafon, że wszyscy wracający ze Związku Radzieckiego, którzy nie zdążyli wsiąść do tamtego pociągu, mogą jechać bez biletu najbliższym pociągiem do Poznania, tam bowiem zatrzyma się transport, który nam uciekł. Pociąg, do którego za chwilę wsiedliśmy był pociągiem osobowym, zatrzymywał się na każdej stacji i do Poznania dojechaliśmy dopiero późnym wieczorem. W Poznaniu zapytałam gdzie są ludzie, którzy przyjechali z Rosji. Powiedziano mi, że na szóstym peronie. I rzeczywiście zobaczyłam na tym peronie Dankę siedzącą na naszym pamiątkowym kuferku, niemal płaczącą, bo tak zmarzła. Był przecież dopiero marzec i noce były zimne.

- *Gdzie Dobrochna?* – Okazało się, że kolejarze zabrali wszystkie dzieci na nocleg do hotelu i tylko ona tu została. Przesiedziałyśmy obie całą noc na dworcu. Było zimno. Rano kolejarze przynieśli nam ze swojej stołówki jakąś zupę, dostałyśmy także chleb. I od tego dnia już ani razu nie byłyśmy głodne...

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Adela DONIGIEWICZ z Rasławskich

ur. 24.02.1911 w Czortkowie na Podolu, gdzie kształciła się w Seminarium Nauczycielskim.

Członkiem naszego Klubu była niemal od chwili jego powstania. Lubiła te nasze kresowe spotkania, uczestniczyła w nich regularnie z zaangażowaniem, mimo odległości od miejsca zamieszkania, wieku czy niepogody.

Serdeczna, bezpośrednia, pogodna, życzliwa, towarzyska, lubiła ludzi. Kochała też kwiaty, umiała o nich mówić, uprawiała w ogródku wiele ich odmian, rozjaśniały Jej samotność. W ostatnich miesiącach życia coraz słabsza, nie opuszczała już domu. A kiedy Jej telefon od wielu dni nie odpowiadał, ustaliliśmy drogą urzędową, że zmarła 20 września w Świdrze pod Warszawą, gdzie mieszkała.

Zachowamy Ją w naszej pamięci, jak i tę chwilę, kiedy w śnieżny, zimowy dzień przydzwigała na nasze opłatkowe spotkanie ciężkie pojemniki tradycyjnej podolskiej kutii, aby starczyło dla wszystkich i aby sprawić nam radość. Taka właśnie była.

Żegnamy Cię Adelo z serdecznym żalem, któremu towarzyszy nadzieja, że przebywasz teraz w pięknym ogrodzie wśród ukochanych kwiatów i nie odczuwasz samotności.

Irena

z całą podolską rodziną klubową

Śp. inż. Stefania MADEJ z Horodyskich

zmarła 23 października br. w wieku 80 lat.

Wychowanka Gimnazjum ss. Niepokalanek w Jazłowcu na Podolu. Żołnierz Armii Krajowej ps. "Smrek", nauczyciel (II) TN w Czortkowie. Absolwentka Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie. Do emerytury pracowała w Instytucie Zootechniki w Krakowie.

Bliska nam Koleżanka z okresu okupacji w Czortkowie i spotkań powojennych. Na dorocznych zjazdach-pielgrzymkach Czortkowieńców do Matki Bożej z Różą w kościele oo. Dominikanów św. Jacka w Warszawie, Stefa była zawsze, czynna i pomocna w organizacji i usługiwaniu pielgrzymom.

W swoim gościnnym domu w Krakowie gromadziła od wielu lat "Mały Czortków" z okazji Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia. Niezależnie od tej tradycji, gośczeni byliśmy w Jej domu niejednokrotnie także w liczonym gronie "czortkowskich wygnańców".

Kresowianka nie tylko z nazwy, przejawiała w swym życiu rodzinnym, zawodowym, koleżeńskim i społecznym bezinteresowność, ofiarność, solidarność i inne piękne cechy swego charakteru. Wierna wyznawanym zasadom, pozostawiła w różnych sferach życia swój ślad, a w pamięci ludzi, którzy Ją znali obraz dobrego, ciepłego, bezinteresownego, szlachetnego człowieka.

Pogrzeb odbył się 27 października na cmentarzu parafialnym w Krakowie-Bieżanowie "Mała Góra". W ostatniej drodze na ziemi towarzyszyło Jej wiele ludzi.

Z Panem Tadeuszem – Małżonkiem Zmarłej oraz z Ich Córką i Synami łączymy się w smutku po tej bolesnej stracie.

Przyjaciele z Czortkowa
w Warszawie

Śp. Władysław SUROWIECKI

urodził się w 1917 r. w Skałacie.

Studia medyczne rozpoczął przed wojną we Lwowie, a ukończył je we Wrocławiu z dyplomem lekarza weterynarii. Ukończył również studia zootechniczne w Wyższej Szkole Rolniczej w Lublinie.

Oprócz pracy zawodowej miał również pokaźny dorobek artystyczny: prowadził liczne chóry, organizował wystawy malarskie własnych obrazów i pisał wiersze, a ich głównym tematem były wspomnienia z lat młodości, historia i piękno krajobrazów Podola i tęsknota za Miodoborami, Zbruczem i Skałatem. Wiersze Władysława Surowieckiego opublikowano w antologii "Tu jest mój dom", a kilka z nich znaleźć można w tomiku "Poeci Ziemi Skałackiej".

Był świetnym gawędziarzem, kronikarzem i obserwatorem życia codziennego.

Po wysiedleniu z rodzinnych Kresów osiadł w Czulczycach na Ziemi Chełmskiej i tam 23 czerwca 2003 r. zmarł. Spoczął na cmentarzu w Lublinie.

Żegnają go, wdzięczni za Jego wiersze

Podolanie

LISTA
ofiarodawców na budowę i wykończenie kościoła
św. Anny w Skałacie

1. Adolf Olejnik - Leszno..... 50.- zł
2. Marian Serafin – Polkowice 100.- zł
3. M. Wojtkowie – Gliwice 200.- zł
4. Adolf Olejnik – Leszno 50.- zł
5. Barbara Barańska – Katowice 30.- zł
6. Jadwiga Rychlewska – Katowice..... 23.- zł
7. Tadeusz Rowiński – Opole 35.- zł
8. Jan Kamiński – Głogów 50.- zł
9. Danuta Bialic – Kędzierzyn-Koźle.... 100.- zł
10. Janina Myjak – Nowa Sol 5.- zł
11. Maria Świrska – Wrocław 5.- zł
12. Jan Ryszard Słobodzian – Wrocław . 10.- zł
13. Józef Franczyszyn – Warszawa 50.- zł
14. Monika Kacprzak – Warszawa 150.- zł
15. Zdzisław Mrozek – Nowy Sącz 100.- zł
16. Wiesław Barczyk – Warszawa..... 100.- zł
17. Antoni Gołębiowski – Warszawa 100.- zł

W liście ofiarodawców na budowę kościoła w Skałacie zamieszczonej w “Głosach Podolan” nr 59 na str. 49 podano omyłkowo nazwisko Tadeusz Ostrowski (z Panasówki) – Głogów zamiast Tadeusz Paszkowski (ur. 1929 r. w Panasówce) – Głogów.

Za pomyłkę przepraszamy.

LISTA OFIARODAWCÓW

Na kościół Tarnopolu:

1. Jerzy Stopa	Warszawa	140.00 zł
----------------	----------	-----------

Na fundusz wydawniczy "Głosów Podolan":

1. Zbigniew Andruchów	Warszawa	50.00 zł
2. Władysław Bochenek	Krotoszyn	55.00 zł
3. Stanisław Horodecki	Gliwice	20.00 zł
4. Eugeniusz Jaworski	Żary	50.00 zł
5. Krystyna Klisińska	Łódź	50.00 zł
6. Kazimierz Kozak	Lublin	40.00 zł
7. Czesław Krzyszowski	Warszawa	300.00 zł
8. Bożena Misztak	Legionowo	20.00 zł
9. Bronisława Misztak	Legionowo	20.00 zł
10. Józef Ruczyński	Brwinów	50.00 zł
11. Tadeusz Rut	Racibórz	50.00 zł
12. Ludwika Siegel	Szczecin	50.00 zł
13. Zbigniew Siegel	Warszawa	50.00 zł
14. Zofia Świątkiewicz	Wąsosz	50.00 zł
15. Jan Wiśniowski	Bydgoszcz	100.00 zł

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.